DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 20 sierpnia 1889 r. — Nr. 24.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Pojedyńczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

O WYCHOWANIU.

> Nie patrzą nadal takowe matki, które rozumieją, iż płeć delikatna, głos wdzięczny, taniec, strój, wiadomość muzyki największym są dam zaszczytem. Wszystkie te zewnętrzne talenta zdatne są, piękne są; ale nie strojeniem się żona męża uszczęśliwia, nie śpiewaniem matka dzieci wychowa, nie tańcem się dom rządzi. Trzeba do tych pracowitych obowiązków umysłu statecznego, myśli fraszkami niezaprzątnionych, mężnego serca.
>
> *Ignacy Krasicki*
> (w Panu Podstolim).

Do tej wielkiej prawdy, wypowiedzianej przez jednego z najznakomitszych pisarzy naszych, dodajemy słowa ojca św., Klemensa XIV: *„On devient tout ou rien, suivant l'éducation qu'on reçoit“*. Jakaż więc, stosownie do powyższych wyrazów uczonego papieża, ciąży odpowiedzialność na osobach, oddanych wychowaniu dziatek! Jakżeż troskliwie powinna być zwróconą ich uwaga na wszystko, cokolwiek dotyczy się dziecięcia!

Wychowanie dziatek jest niejako rolą, którą baczny gospodarz rozmyślnie, starannie i pracowicie uprawia, by plon pomyślny przyniosła. Ciężka praca i troskliwe zabiegi nie zawsze upragnione przyniosą skutki: śrony, deszcze, grady i posuchy niszczą nieraz nadzieje rolnika; lecz powinien być spokojnym, skoro czynił wszystko, cokolwiek w jego było mocy, a Boża wola inaczej zrządziła.

Wychowanie dziecięcia już od pierwszego głużenia jego rozpocząć się winno[1]), bo maleńkie i drobniuchne wszystkiego bywają początki.

Nieraz zdarza nam się słyszeć, jak matka chwali dziecię, że już przeżegnać się umie, że już nauczyło się zmówić: Ojcze nasz, i jak maleńkiemu z paciorkiem popisywać się każe. Niewłaściwy to zaprawdę popis, a raczej profanacya wielkiego, świętego Ojcze nasz! Na to mamy wyborne[2]) bajeczki. Przez takie bezpotrzebne powtarzanie pacierza dziecię nauczy się z obojętnością święte wymawiać słowa, gdy przeciwnie w młodziutkiej duszyczce wcześnie rozdmuchać potrzeba iskierkę cześci religijnej i wlać w nią wiarę w to, że, mówiąc pacierz, zaseła prośbę do Boga, do Ojca wszystkich stworzeń. Od pierwszego przeto rozwijania się sił umysłowych dziecięcia powinna matka wyłożyć mu wszelkie znaczenie pacierza i prośby, które Ojcze nasz zawiera, w wyrazach jak najprostszych i jak najprzystępniejszych do pojęcia dziecka. Każda matka potrafi to zapewne najpraktyczniej, jeżeli nie najumiejętniej zastosować.

Miłość bliźniego jest jedną z pierwszych podstaw, a może najpierwszą podstawą wielkiej, zbawiennej nauki Chrystusa. I matki wielce nad tem czuwać powinny, by serce dziecka usposobiło się do wydania tego wonnego kwiatu. Miłość bliźniego do wszystkiego dobra prowadzi. Serce nią zagrzane nie rozkrzewi w sobie zawiści, chciwości, łakomstwa, obmowy, oszczerstwa, nienawiści, zemsty i t. d. a jest zdolnem do cnót największych — do najszczytniejszych poświęceń.

Widziałam, jak maleńki chłopczyk, synek obywatela wiejskiego, ujrzawszy dziecię ubogie, bose, z pokaleczonemi nóżkami, płaczące rzewliwie, zdjął swoje nowe bóciki, a sam w pończoszkach do domu powrócił. Deszcz co tylko był spadł i malec przemoczył pończoszki. Matka, zobaczywszy go, zaczęła łajać, że to swawola, już nawet rózgi szukała — a dziecię, płacząc, milczało, aż dopiero ktoś ze służby wyjaśnił rzecz całą.

Matka zastanowiła się nagle — uznała szlachetny popęd serca, bo i trudno było nie uznać.

— A dla czegoż nie powiedziałeś mi od razu, co z bócikami zrobiłeś? — zapytała synka.

— Bo... bom się bał, aby nie odebrano temu bosemu bócików... wstydziłem się — odrzekł chłopczyk, zasłaniając oczy dłonią[1]).

— I czegożeś się wstydził?

— Bo... bóciki były od mamy.

Matka z całego serca ze łzą w oku przycisnęła synka do piersi.

Jakaż jej pociecha, jaka przyszłość w tem zajaśniała dziecięciu! — To przyszły obywatel kraju!

---

[1]) Ludzie powołania twierdzą, że wychowanie dziecięcia powinno się poczynać wraz z jego poczęciem, a nawet przed poczęciem.

[2]) Są w Krasickim, w Jachowiczu i w innych bajki, których dzieci z pożytki m uczyć się mogą.

[1]) Otoż fałszywy wstyd nawet tam, gdzie się chlubić jest z czego. Fałszywy wstyd jest ważnym dla wychowawców przedmiotem.

Niechajże więc dziecię przez miłość bliźniego, przez litość nad nędzą raczej wszystkie ze siebie odda sukienki, niżeliby obojętnie, z dumą, z uśmiechem lekceważenia odwrócić się miało od nędzy, nawet tylko od niedostatku.

Z miłością bliźniego łączy się i wiara w ludzi i dobra wiara — a z nią milej żyć na świecie. Zawodzi nas wprawdzie często, przebolimy niejedno złudzenie[1]), ale wszakżeż droga cnoty i zbawienia nie bywa różami zasadzona. Niewiara w ludzi rodzi gorycz — dobra wiara daje pociechę.

Pierwsze wyrazy, których dziecię wygłużyć nauczą, są zawsze: bebe i cacy. Pierwszy, zastosowany do dziecięcia samego, jest zapewne dobrze zastosowanym, ale na tem nie poprzestają matki i niańki: siostrzyczka bywa bebe, braciszek, niańka — a w końcu mama i tata. Dzieciątko zaś naturalnie zawsze jest cacy. Gdy następnie młodszy urodzi się braciszek, lub siostrzyczka i dziecię mu swojego dotychczasowego tronu ustąpić musi, poczyna zazdrościć przybyłemu niewiniątku, kaprysi i złości się, albo też boleje w maleńkiem serduszku nad swem odtrąceniem z piedestalu, na którym zostawało dotąd i zrodzi się w niem przykre uczucie doznanej niesprawiedliwości, gdy młodsze dziecię niezasłużenie nań bebe zawoła, a drudzy temu przyklasną.

Są to maleńkie, na pozor nic nieznaczące rzeczy, bezwpływowe niby, ale unikać ich zawsze jest lepiej. Od najpierwszego, najlżejszego pojęcia dziecię powinno być pouczane, ażeby czciło ojca i matkę i nie używało względem nich wyrazów, coś nagannego oznaczających. Nadto potrzeba jak najstaranniej unikać podrażnienia młodziutkiego uczucia, czy to pubudzaniem go do gniewu, czyli też do żalu — a szczególniej nie podżegać w niem zazdrości.

Ale nietylko dla rodziców, lecz i dla starszych osób — krewnych, jako i obcych — dla wszystkich osób poważnych powinno dziecię znać szacunek. Lekceważenie tam, gdzie szanować należy, kazi bardzo charakter, niekiedy na zawsze: „Bo czem garnek nawrze, tem skorupka trąci.“ Jest też powinnością wywołać w młodem sercu i utrwalić współczucie dla nieszczęścia, dla wszelkiej niedoli: dla chorych, obłąkanych i kalek. Widzimy nieraz, jak wyśmiewają waryatów, jak przedrzeźniają cierpienie i kalectwo; niestety! jest to zdrożne i bolesne, a przywodzi na pamięć słowa Gustawa w Dziadach:

O! dziatki, wy się ze mnie śmiać nie powinnyście!
Słuchajcie, znałem pewną kobietę za młodu,
Tak jak ja nieszczęśliwą, z takiego powodu!
. . . .
Ja się raz tylko, raz tylko zaśmiałem!
Kto wie, jeśli nie za to?... Słuszne sądy Boże!

Dzieci po części wyśmiewają się bez zastanowienia nad tem, co czynią, lecz starsze osoby przestrzegać i dobry przykład z siebie dawać winny.

Narowy przemieniają się w wady. Nawyknienia drugą stają się naturą.

[1]) Na to jest rada w piśmie, które każe być łagodnym, jak gołąb', a roztropnym, jak wąż.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Hrabina Thea

przez

Elizę Polko.

Tłomaczyła Anna Pilaska.

(Dokończenie.)

Thea w uniesieniu rzuciła się na szyję męża.

— Ach! jakiś ty dobry, najdroższy, najmilszy, powtarzała ze łzami prawie, jak ci mam podziękować za to. A czy jest tam teatr? dodała ciszej nieco.

— Są dwa, czy trzy nawet — odparł z uśmiechem. Lecz zamiast dziękować, przyrzeknij mi, że nigdy bez mamy sama na większym obiedzie nie będziesz.

— Przyrzekam i tu masz moję rękę na to. Coż mnie obchodzą wszystkie polowania i obiady, jeżeli tylko do teatru pójdziemy i jeżeli dużo ludzi codziennie oglądać będę mogła.

— Czy ci tu tak smutno, najdroższa?

Skinęła główką w milczeniu.

— Więc dla czego nie zajmiesz się domem, lub czemś poważniejszem, czytaniem i muzyką na przykład?

— Domem, Edgarze? Czy hrabina potrzebuje gospodarstwem się zajmować? kiedy ja nawet w domu nigdy tego nie robiłam. Ciotka Elżbieta gotowała zwykle sama, a ja pomagałam jej tylko myć szklanki i talerze. A zresztą przecież codziennie wymyślam potrawy razem z kucharzem i powiedz, czy ci obiad smakuje?

— Ale zarząd całego domu ty objąć powinnaś — królowe i księżniczki nawet to czynią. Zresztą z mojej matki najlepszy przykład dla siebie brać możesz.

— Zapewne, jednak dużo będzie potrzeba czasu, zanim się stanę do niej podobną — odparła złośliwie. Zastanów się sam tylko nad tem, Edgarze — dodała poważnie, smutno prawie — twoja matka była inaczczej ode mnie wychowaną i od dzieciństwa miała swoję matkę, jako przykład przed oczyma, podczas kiedy o mnie nikt się nie troszczył i nikt na mnie nie zważał. Co się zaś tyczy czytania i innego zajęcia, to nie wymagaj go ode mnie, wiedząc dobrze, że książka nudzi mnie bardziej, niż gdybym cały dzień nic nie robiła.

— Ale z miłości ku mnie postaraj się przezwyciężyć trochę, drogie dziecię, a z czasem polubisz książki, robótki i muzykę.

— Wszakże pokochałeś mnie, chociaż nic nie umiałam, a teraz, w cztery miesiące po ślubie, żądasz niepodobieństwa ode mnie. Bądź cierpliwym, Edgarze, względem twej biednej i niemądrej, ale bardzo cię kochającej żoneczki.

Przestał nalegać i westchnąwszy, poszedł odwiedzić matkę.

Hrabina powitała go ze zwykłą radością.

— Przychodzę trochę wcześnie, mateczko, odezwał się niezbyt pewnym głosem, ale postanowiłem właśnie wyjechać z Theą na tydzień do D. Dawno już tam nie byłem, więc galerya obrazów, teatr i koncerta nęcą mnie na równi z naszą małą, uradowaną tym wyjazdem. Czy nie masz nic przeciwko temu i czy nie chciałabyś nam towarzyszyć, mamo?

— Pochwalam twój zamiar w zupełności, ale mnie dajcie z wyjazdem pokój. Podróżować zimą to już nie pora dla takiej, jak ja, staruszki, a zresztą jest jeszcze tyle na święta Bożego-narodzenia przysposobień. Jedźcie sobie we dwoje, moje dzieci, a ja z całego serca jak najlepszej zabawy wam życzę.

Popatrzył jej w oczy, tchnące tak niewyczerpaną ku niemu miłością, następnie ucałował jej białe z długiemi, arystokratycznemi palcami ręce.

Nieobecność młodej pary trwała dłużej, niż to zamierzono; lekkie zaziębienie się Thei spoźniło powrót. Edgar pisywał do matki często, ale główną treść jego listów stanowiły recenzye z dziedziny sztuki i rozmaite zlecenia gospodarcze. O sobie i o Thei wspominał tylko pobieżnie, obiecując za powrotem szczegółowo opowiedzieć wszystko.

„Prowadziliśmy tu życie dosyć urozmaicone i wesołe, pisał pewnego razu, dopóki zaziębienie Thei nie położyło końca temu. Mamy dużo znajomych, z którymi codziennie wieczorem w teatrze, lub na koncercie się widujemy ku wielkiej radości Thei. Cieszy się ona przecież na równi ze mną na powrót do domu, tem bardziej, że przywieziemy ci na gwiazdkę podarek, o jakim nawet nie marzyłaś. Nie umiem wypowiedzieć, jak mi już za tobą tęschno i jak się na tę cichą zimę, którą we troje spędzimy, cieszę. Myślę, że zajdą pewne zmiany — ale zmiany na lepsze, mogące nam jeszcze więcej szczęścia przysporzyć“.

— Dałby Bóg, aby się na lepsze zmieniło — szepnęła hrabina, składając, jak do modlitwy, ręce — inaczej on i ja bylibyśmy zgubieni oboje.

Dopiero w przeddzień wilii Bożego-narodzenia powrócił Edgar z żoną do Dorneg. Powitanie matki z dziećmi było nad wyraz serdeczne i po raz pierwszy może dopiero stara hrabina macierzyński prawie na czole swej przybranej córki złożyła pocałunek. Młoda kobieta wyglądała nieco blado i mizernie, kiedy na zwykłą popołudniową herbatę na górę do matki wraz z mężem przybyła, ale na ślicznej twarzyczce odbijał się jakiś wdzięk i łagodność, której przedtem nigdy w jej rysach nie widziano.

— Czyż Thea nie jak księżniczka w swym ponsowym, aksamitnym ślafroczku wygląda — zauważył Edgar, rzucając promienne na żonę wejrzenie.

— Tak ją psujesz, że jutro skromne moje podarki podobać jej się nie będą — odparła hrabina z uśmiechem.

— O! nie obawiaj się, mamo, nasza mała księżniczka ma zawsze pełno życzeń, a ty je tak cudownie odgadywać potrafisz. Tym razem jednak i my naszym wspólnym podarkiem cię uradujemy, nieprawdaż, Theo?

Młoda kobieta skinęła główką potakująco.

— Gdybyż to już było jutro — szepnęła, rumieniąc się czarownie.

Udano się wcześnie na spoczynek z powodu widocznego znużenia Thei, a przytem, że i hrabina tak wiele jeszcze podarków na nadchodzącą uroczystość przysposobić chciała.

Nadszedł nareszcie ów wieczor i o zmroku zapalono dla służby olbrzymie drzewko, stojące w ogromnej zamkowej sieni, opalanej na ten cel już od tygodnia. Gromada mężczyzn, kobiet i dzieci weszła przez otwarte podwoje i stanąwszy około dużego stołu, w niemym podziwie na rozłożone na nim podarki, na stosy pierników i złoconych orzechów patrzała. Hrabina Berta wraz z synem obdzielali domowników, nie szczędząc im miłych słów zachęty i pochwały, a Thea, siedząc w dużym, wygodnym fotelu, dzieci karmelkami częstowała. Mała dziewczynka, córka pałacowego ogrodnika, widocznie śmielsza od innych, weszła jej na kolana, a młoda hrabina nieomal ze wzruszeniem pieściła i całowała malutką. Wieczor cały bawił i zachwycał ją niemało; duże, błyszczące oczy z dziecinnem prawie upodobaniem na jarzące od świateł drzewko spoglądały.

— Edgarze, szepnęła, przywołując męża skinieniem, nigdy jeszcze podobnie pięknego wieczora nie spędziłam, co to jednak za szczęście być bogatą i módz tem samem sprawiać przyjemność innym!

A kiedy później w saloniku starej hrabinej troje szczęśliwych około pięknie ubranego drzewka się zgromadziło, Thea, rzuciwszy zaledwie okiem na zbytkowne cacka i kosztowne materye, pochyliła się z promiennym uśmiechem nad pewnym, tajemniczym przedmiotem, który Edgar własnoręcznie przyniosł na górę — nad... kołyską.

Był to dar najkosztowniejszy ze wszystkich, jakie w tym roku na zamku Dorneg nagromadzono — zwiastun nowego szczęścia i radości! To też oczy matki i syna napełniły się łzami — wiedzieli teraz, że zajdą zmiany na lepsze z pewnością.

— Nie prawdaż, mamo, że będziesz podwójnie kochać Theę za to błogosławieństwo Boże, które w nasz dom wniesie — że będziesz dla niej jeszcze pobłażliwszą, niż przedtem? Och! co do mnie — na rękach nosiłbym ją prawie.

Hrabina przycisnęła głowę syna do swej wzruszonej piersi, szepcąc:

— Niech ją Bóg błogosławi.

Uczucie szczęścia i wdzięczności dla przybranej .córki przeniknęło i jej duszę od tej chwili — postanowiła sobie otoczyć ją najczulszem staraniem i miłością. Paląca ją dawniej zazdrość zniknęła bez śladu i Thea nie była już dla niej istotą, która jej syna wydarła, lecz jedynie matką przyszłego dziecka Edgara.

* * *

Zimowe miesiące upłynęły w Dorneg cicho, ciszej, niż kiedykolwiek — zajmowano się i myślano tylko o Thei wyłącznie. Pozwalała też chętnie na wszelkie drobne usługi, jakie jej oddawać chciano, ale nie uważała ich, jak dawniej, za rzecz naturalną, z pokorną nieomal wdzięcznością za nie dziękując. — Nie robicie tego dla mnie, tylko dla naszej ślicznej, maleńkiej córeczki, która Edgara i mamy oczy, a moje włosy mieć będzie.

Ogarnęła ją nagła, lecz szczera chęć zrobienia czegoś dla tej mającej przyjść na świat istotki i białe jej rączki nie spoczywały nigdy, jak dotąd, bezczynnie, lecz starały się, o ile możności, choć w małej części do szyjącej się właśnie wyprawki przyczynić.

— Nie kupujcie nic dla mnie, prosiła, kiedy mąż, lub teściowa kosztownemi fatałaszkami, wzbudzającemi dawniej taki zachwyt, ją zarzucali — chowajcie lepiej pieniądze na podarki dla naszej córeczki.

W przekonaniu, że to będzie córka, utwierdziła się tak silnie, że nawet przeczyć jej żartem było niebezpiecznie.

— Na syna nie cieszyłabym się wcale — odpowiedziała, wybuchając natychmiast gwałtownem łkaniem — cożby on miał z takiej niemądrej i niezaradnej matki. Musiałabym go tobie i mamie w zupełności powierzyć, podczas kiedy córka do mnie wyłącznie należeć będzie.

Czas płynął cicho, niepostrzeżenie, ale szybko i wkrótce nadeszła wiosna. Wszelkie przygotowania na przyjęcie spodziewanego aniołka były poczynione z taką troskliwością i staraniem, jakie prawdziwa miłość zazwyczaj za sobą sprowadza. Poza gabinecikiem, obok sypialni Thei, znajdował się obszerny, zaciszny pokój z oknami na ogród i tam pewnego dnia zastał Edgar młodą swą żonę siedzącą przed kołyską, śnieżno białą pościelą zasłaną. Maleńka koronkowa poduszeczka, na której niezadługo również maleńka główka spoczywać miała, leżała na kolanach hrabinej. Uszczęśliwiony mąż klęknął u jej nóg, patrząc jej w oczy z miłością.

— Dobrze, że przyszedłeś tu, Edgarze, gdyż musisz mi coś przyrzec — tutaj u kołyski naszego dziecka — odezwała się uroczystym głosem.

— Wszystko, co tylko zechcesz, najdroższa, odparł, obsypując gorącemi pocałunkami jej rączki — co mi powiesz?

— Daj rękę, że dotrzymasz słowa.

— Masz ją, kochanie moje, i mów śmiało.

— Słuchaj zatem: nasza mała córeczka będzie wyłączną moją własnością i nikt się do jej wychowania wtrącać nie ma prawa. A kiedy dorośnie i będzie śliczną panienką, a jestem przekonana, że nią będzie, wtenczas — dodała wzruszona — obejmując szyję męża rączkami —

zostanie artystką dramatyczną, tylko lepszą i sławniejszą od swej biednej matki. Teraz wiesz, o co chodzi i musisz się zgodzić na to, boś mi to przyrzekł uroczyście.

— Najdroższa, cóż to za niezwykłe żądanie? — odparł ścieśnionym, drżącym głosem — nam, ludziom, tak dalece przyszłością rozporządzać nie wolno.

— Przyrzekłeś, że się zgodzisz — szepnęła gwałtownie i ciemny rumieniec oblał ją całą — zaklinam cię, powiedz, „tak!“ — a ja z swej strony składam ci przysięgę, że nasza mała, śliczna, ukochana córeczka nie będzie nieszczęśliwą.

— A czy ty wiesz, dziecko, czego mi się w skutek tego twego życzenia domyślać każesz? zagadnął z boleścią.

— Chcę tylko mieć wyłącznie dla siebie nasze dziecko.

— Chcesz je widzieć szczęśliwszem, niż jego matka się nią czuje.

Głęboka boleść w głosie męża wzruszyła ją do żywego. — Edgarze, zawołała, wybuchając łzami, wiesz o tem, że cię kocham, ale pomimo to czuję się między wami zawsze tak okropnie obcą. Tyś temu nie winien, najdroższy, lecz myśl, że jestem tak mało do twego ideału kobiety — do twej matki — podobną, dzień i noc mię trapi. Jesteście wszyscy tak dobrzy dla mnie, a Dorneg jest miejscowością tak uroczą, jednakże mnie tu wszędzie jakby powietrza brakuje. A tego uczucia chciałabym bardzo naszej małej córeczce oszczędzić. To mówiąc, przycisnęła swą złotą główkę do twarzy męża, pieszcząc i całując go tak długo, dopóki nie odparł z westchnieniem.

— Więc dobrze, uczynię, co zechcesz, ale teraz nie mówmy już nigdy o tem.

— Nigdy nie wspomnę ci nawet, i w ogóle mniej, niż dawniej, sobą zajmować cię będę. Z moją małą córeczką za to nie rozłączę się przez dzień cały; będę jej mówiła o tobie i o sobie, o mojej nędznej młodości i o tysiącznych innych przedmiotach, o których mi tu nawet wspomnieć nie wolno. Ach! Edgarze, pomyśl, jak to będzie ładnie, kiedy my oboje w jakim wspaniałym teatrze, w aksamitnej loży zasiądziemy, a nasza córka wystąpi na scenie i publiczność z zapałem oklaskiwać ją będzie! Tylko mamie nic nie mów o tem, nic o swem przyrzeczeniu nie wspominaj.

. . . .

Od powyższej rozmowy z mężem Thea zmieniła się nie do poznania. Opanowała ją jakaś wesołość łagodna, lecz promienna, z każdym dniem stawała się jeszcze ładniejszą i lepszą. W cienistych altanach parku mieszkańcy zamku przed czerwcowemi upałami się chronili, a Thei ten pobyt na świeżem powietrzu niezwykłą zdawał się robić przyjemność. Stary lekarz z poblizkiego miasteczka był codziennym nieomal na zamku gościem, a widząc kwitnącą zdrowiem żonę Edgara, odpowiadał na wszelkie troskliwe pytania hrabiny Berty tym samym frazesem: — Da Bóg, wszystko dobrze będzie, trzeba ją tylko chronić od zbytniego wzruszenia.

Pewnego pięknego dnia czerwcowego zamek był niezwykle ożywiony. Posłańcy mijali się ze sobą, konnych i pieszych wysłano po lekarza, a kiedy przybył nareszcie, wprowadzono go z pospiechem do zaciemnionej sypialni młodej hrabinej.

Upłynęła godzina, która dla Edgara z wiecznością się równała, zanim matka o urodzeniu się syna zawiadomić go przybyła.

— A Thea? zapytał gorączkowo.

Lekarz nie traci nadziei, chociaż dotąd jest bezprzytomna i bardzo osłabiona.

Gwałtowny ból ścisnął go nagle za serce — przeczucie czegoś złego powstało w jego umyśle.

— Muszę ją widzieć koniecznie, wyszeptał błagalnie.

— I owszem, lecz pod warunkiem, że się zachowasz spokojnie.

— Postaram się, odparł bez tchu prawie, i uchwycił rękę matki, jak dziecię, lękające się w ciemności.

Z bijącem sercem wszedł do pokoju żony. W najciemniejszym kąciku stała rzeźbiona wspaniała kołyska, z której nowo zgodzona piastunka właśnie biały przedmiot wyjęła. Edgar zbliżył się; na koronkowej poduszce spoczywała główka dziecka, którą on, upojony szczęściem, leciutko dotknął ustami. Byłby może stał dłużej, wpatrując się w dziecko swoje, w syna swego, lecz w tem przypomniał sobie żonę, o którą lękał się tak bardzo. Podobna do posągu leżała na śnieżnej pościeli, otoczona falą złotych włosów; duże, niebieskie oczy nieruchomie w dal patrzały.

Pochylił się nad nią z czułością, lecz martwe spojrzenie Thei przejęło go strasznym bólem i trwogą. Wyczytał w niem coś niezwykłego i przerażającego . . . . śmierć!

Chora oprzytomniała niebawem i pobladłe usta wyszeptały niedosłyszalnym prawie głosem: — Pocałuj mnie, Edgarze — masz syna, ale to i lepiej może dla ciebie — tylko ja się tak bardzo na małą córeczkę cieszyłam.

Uścisnął ją i łzy zwilżyły mu oczy. W przyległym pokoju lekarz otworzył właśnie okno, a chora z widoczną radością tem świeżem, wonnem powietrzem oddychała. Wieczór zapadł powoli i słowiki w parku nucić zaczęły, a do cudnej tej melodyi przyłączyło się jakieś ciche kwilenie, płacz przyszłego dziedzica posiadłości Dorneg.

Lecz młoda matka nie słyszała tej skargi dziecinnej — usnęła, marząc o małej córeczce, z ręką, ukrytą w dłoni klęczącego przy łóżku męża. A mała rączka stygła coraz bardziej i nadeszła chwila, w której nieprzytomnego prawie oderwano od martwego ciała żony, która rozstała się z nim na tym świecie, aby się kiedyś w lepszej krainie znowu na wieki połączyć.

. . . .

W eleganckim letnim teatrzyku w P. przedstawiano tego samego wieczora ulubiony balet, „Piękną Meluzynę“, w którym niegdyś Thea w roli nimfy wodnej serce hrabiego zdobyła. Teatr był przepełniony i po pierwszym akcie wywoływano kilkakrotnie młodą, ładną aktorkę, grającą rolę tytułową, zarzucając scenę wieńcami i bukietami.

— A cóż się też stało z naszą śliczną Theą, która tu dawniej tak często występowała, zagadnął podżyły jakiś jegomość siedzącego obok sąsiada.

— Wyszła za mąż za hrabiego — i jako pani hrabina pędzi podobno życie godne zazdrości — brzmiała odpowiedź.

KONIEC.

GIECZ
i jego pamiątki.

Mało zapewne jest u nas ludzi, na których ojczyste pamiątki zamierzchłej przeszłości podniosłego nie czynią wrażenia. Straciwszy byt polityczny, żyjemy wspomnieniem tej szczęśliwej, błogiej przeszłości, zwracamy się ku niej, oddychamy nią bezwiednie nieraz. Stąd wypływa, że, kochając wszystko, co z nią złączone, staramy się o jej poznanie, szukamy chciwie nieodkrytych w jej łonie skarbów. Wobec często

spotykających nas zarzutów, że, żyjąc niejako marzeniem, zbyt mało pracujemy dla przyszłości, możemy odpowiedzieć śmiało, że tylko wówczas praca w imie przyszłości nie będzie u nas bezcelową, jeśli, poznawszy dokładnie przeszłość naszę, do niej zastosujemy swoje dążenia. Zresztą tylko ludy młode, niemające przeszłości dziejowej, nie patrząc poza siebie, do wytkniętego celu naprzód dążą, nowe i modne stawiając sobie ideały, których najwyższym szczytem jest... dobrobyt.

Ideały nasze — to ta wolność złota, nieraz nadużyta, ów duch buntowniczy, marzycielski, zrywający wszelkie nałożone nań pęta, długowieczne bohaterskie walki i wysiłki narodu, co, ległszy skrępowany, wierzy jeszcze w zmartwychwstanie. Tej wierze silnej, gorącej, kiełkującej zarówno w sercu magnata, jak chłopa, mamy do zawdzięczenia oporną i życiową siłę naszę: wzięła ona początek w miłości, a przerodziła się w nadzieję. Ona to łzami zrasza nam oczy na przodków naszych mogiłach, budzi w nas dumę na wspomnienie ich czynów, podziw na widok zachowanych pamiątek przeszłości. Wielkopolska posiada ich dosyć, lecz wiele z nich nieodgrzebanych nieznane są szerszemu ogółowi, dostępne jedynie dla naukowego badacza; z innych zachowały się zaledwie mętne, niedające się w całość ująć podania, tak pełne czaru w pierwotnej swej formie. Zeskrobywanie przez oszczędność pargaminów, wojny szwedzkie, wewnętrzne, domowe zatargi, wreszcie lekkomyślność jednostek ogołociły nas z wielu pamiątek, lub pozatracały źródła ich pochodzenia. Obowiązkiem naszym dzisiaj jest strzedz wszelkiej po przodkach pozostałości, otaczać ją opieką i czcią przynależną.

Jedną z miejscowości w Księstwie, gdzie co krok prawie spotkać się można z czemś porywającem w przeszłość naszego ducha, jest Giecz i jego okolica. Zdaje się, jak gdyby naumyślnie nagromadzono tutaj tyle pamiątek, aby ułatwić poszukiwania i bogatego dostarczyć materyału. Starodawny Giecz, leżący na północ od niemniej starożytnej Środy w odległości dwunastu kilom., nader piękne pomimo płaszczyzny ma położenie. Nosił on u historyków przeróżne nazwy. W Kronice Galla, edycyi Wincentego Bandtkiego, *Gdech*, w innem wydaniu: *Gdeth*, w gdańskiem: *Condek;* u Sommersberga: *Odech.* Polscy historycy nazywają go najczęściej *Gdecz.* Znakomitości miejsca tego w pierwszym u nas wieku chrystyanizmu dowodzi to, że za panowania Bolesława Chrobrego dostawiał Giecz do wojska 300 pancernych, a 2000 w puklerze zbrojnych ludzi. Gdy w roku 1038 Brzetysław, książę czeski, posunął zabory swoje aż ku Gnieznu, zbliżył się również do Giecza. Grodzianie tameczni, oraz kmiecie, którzy tam szukali przytułku, wyszli naprzeciw niemu na znak poddaństwa ze złotą laską. Brzetysław zabrał podobno z tej okolicy 20,000 ludu w niewolę wraz z bydłem i wszelką ruchomą własnością. Posłani do Czech na trzebienie lasów, Cirnin zwanych, zachowali wszelką wolność, wraz z prawem rządzenia się przełożonym ze swego narodu. Podług czeskiego dziejopisa, Kosmasa, żyjącego za panowania u nas Bolesława Krzywoustego, a więc 100 lat później, nazywano jeszcze osadników Gieczanami.

Przy podziale przez Bolesława Krzywoustego Wielkopolski między książąt Mieczysława i Bolesława, dostał się Giecz ostatniemu. Po śmierci tegoż, zmarłego bez potomka płci męzkiej, przeszedł Giecz na jego synowca Przemysława, księcia na Poznaniu. Tenże nadał go w r. 1286 Thilonowi, kapelanowi swemu, w nagrodę za to, że mu uzyskał i przewiózł pomimo niebezpieczeństwa od morza ukochaną żonę i panią, Ryksę szwedzką, którą po śmierci nieszczęśliwej Ludgardy zaślubił. Niewiadomem jest, czy Giecz był podówczas wsią, czy też kasztelanią, jak to twierdzą niektórzy. Thilon, rządzący się tamże prawem magdeburskiem, miał sobie nadaną władzę w takiej rozciągłości, że nawet w razie wyroku śmierci miano się udawać o zatwierdzenie do niego, lub jego następców, a nie do urzędu księcia. Przez tegoż Thilona przeszedł Giecz wraz z Poświętnem i wielkiem jeziorem na własność kapituły poznańskiej, a następnie wcielony został do dochodów archidyakona pszczewskiego. Za rządu pruskiego został Giecz wraz z innemi dobrami zabranym.

Kamienny w Gieczu kościołek romańskiego stylu jest jednym z najstarszych, bodaj czy nie najstarszym kościołem w Wielkopolsce, zachowanym w pierwotnej swej formie. Zbudowany z kamieni polnych w sześciościany, zadziwia grubością murów i trwałością budowy. Długości posiada 14 metrów, szerokości 6 metrów. Zeszpeconym jest przez przybudowanie drewnianej wieży, kruchty i zakrystyi. Wewnątrz nie posiada nic szczególnego: kilka wązkich, romańskich okien, trzy ołtarze; sklepów do chowania zmarłych nie ma. Pomiędzy naczyniami kościelnemi nie posiada nic ze złota; uwagę zwraca jedynie srebrna monstrancya starożytnej roboty. W kruchcie stoi kropielnica, wykuta w kształcie puchara na łokieć wysokiego z jednego polnego kamienia. Porysowane ściany i szczerby na wierzchu pokazują wyraźnie, iż wieki już całe służy do użytku kościoła.

Trudno dociec, kto wybudował ten kościołek, tyle stuleci na świat patrzący. Jest on pod wezwaniem Najświętszej Panny Maryi i św. Mikołaja, biskupa i wyznawcy. Podług Długosza wzniesiony został przez Piotra Dunina, także Włastem nazywanego, który wzniósł jeszcze kościoły w Kościelcu pod Inowrocławiem, w Strzelnie dwa i wiele podobno innych. W takim razie sięgałby on starożytnością pierwszej połowy XII wieku. Podanie ludowe opowiada, że go wybudowali anieli. Starych dokumentów nie posiada, najstarszy pargamin nosi datę r. 1510. Cmentarz dla zmarłych, na którym znajduje się kilka sklepionych grobowców, otacza kościoł. Prócz tego znajduje się jeszcze jeden cmentarz w polu poza wsią. Patronem jego jest rząd; prawo prezentowania kapłana należało dawniej do archidyakona pszczewskiego, a dziś do arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego. Posiada jeden tylko legat pieniężny w ilości 1500 talarów, zatwierdzony hipotecznie na wsi Rusiborzu.

Przez Giecz prowadzić musiał niegdyś tak zwany bity gościniec, ponieważ przy kopaniu fundamentów napotyka się często bruk, szeroko rozłożony w ziemi. Pomiędzy Gieczem a Biskupicami leży znacznych rozmiarów jezioro, dziś zasługujące raczej na nazwę bagniska. Jest prawo przypuszczenia, że istniały na niem niegdyś mieszkania, wzniesione na palach, czego dowodem pnie drzewa ciosanego i różne znalezione na dnie, lub wydobyte z torfowisk przedmioty. Pomiędzy zasługującemi na uwagę wyróżnia się rękojeść kamienna od siekierki, będącej długo w użyciu, czego dowodem lekka wklęsłość w miejscu, gdzie ją dłoń trzymała. Posiada ją obecnie p. Kalk, nauczyciel w Sokołowie pod Śmiglem, gromadzący z zamiłowaniem tegoż rodzaju przedmioty. Dalej znaleziono tam pierwotnej formy kamienie do żarn, które dotychczas pewna wieśniaczka w Gieczu posiada, rogi tura i rogi jelenie, na których były znaki od cięcia siekierą kamienną, antaby od szufład i inne drobne przedmioty. Szkoda wielka, że jezioro to dla otaczających je trzęsawisk nie dozwala do siebie przystępu i utrudnia poszukiwania.

Przed dwudziestu laty przy kopaniu ziemi pod fundamenta teraźniejszej plebanii znaleziono kości dwóch rąk, na których były zawieszone kajdany. Po tylu wiekach zwolniono je ostatecznie z okropnego uścisku, wymierzonego prawem, a może tylko nienawiścią, lub przemocą. Szkoda, że wszystkie odkopane przedmioty ze żelaza kruszyły się natychmiast pod wpływem powietrza.

Tuż do Giecza przytyka niemniej sławne Grodziszczko. Wizyta Strzałkowskiego, archidyakona poznańskiego. w roku 1638 wspomina o wsi Grodziszczu, z której dzisiaj nie ma żadnego śladu. Grodziszczko składa się obecnie z wysokich okopów, mających 400 stóp średnicy, wśród których stoi kościołek, plebania, cmentarz i kilka maleńkich budynków. Jest to rzeczywiście urocze miejsce. Naj-

wyżej wznoszą się okopy od południowej strony. Mimowoli przychodzi na myśl pytanie, skąd brano ziemię do ich usypania. Wewnątrz jest dość wysokie wzniesienie, zewnątrz okopów rozciągają się nieosuszone dotychczas moczary. Najprawdopodobniej było tam przez naturę utworzone wzgórze, z którego ziemię z północnej strony zsypano ku południowi, tem więcej, iż od północnej strony broniły przystępu ogromne trzęsawiska.

Kto te okopy nasypał, dotąd nie wiadomo. Nazywają je szwedzkiemi, lecz podobno północny ten naród w inny je zwykle stawiał sposób; prawdopodobnie wznieśli je Czesi, a Szwedzi może skorzystali z nasypanych już, wprowadzając doń wojska, przez co dostały miano szwedzkich. Podanie ludowe mówi o postawieniu tamże kościoła przez Przemysława, księcia na Poznaniu, w roku 1240. Kronikarze wątpią jednakowoż o tem, podając za powód, iż Baszko, wyliczając wszystkie jego pobożne uczynki, nie byłby zamilczał bez wątpienia o wzniesieniu kościoła.

Niewiadomo kto i kiedy teraźniejszy wystawił kościołek; pewnością jest tylko, że na początku zeszłego wieku naprawiał go pleban Marcin Żerłowski, a następnie Jan Guzowski w roku 1767. Wybudowany z drzewa, nie posiada w sobie nic szczególnego. Styl trudno oznaczyć, ma to być coś niby gotyckiego, w rzeczywistości jednak robi wrażenie wielkiego domu z dość niezręcznie przyczepioną wieżyczką. Jest jednakowoż znacznie obszerniejszym od kościołka w Gieczu. Kiedy i jakim sposobem przeszło Grodziszczko w ręce prywatne, nie wiadomo, lecz, jak dokumenta pokazują, należy oddawna do wsi Chłapowa.

(Dokończenie nastąpi.)

Zapiski, szkice i typy galicyjskie.

Rodzina moja należy do warstwy średniej szlacheckiej; żyjemy sobie spokojnie, szaro, po codziennemu na wsi, w ukochanem S. Ale jeżeli kto myśli, iż dla tego właśnie, że wiejski, powiatowy przedstawia się oczom horyzont, widok ten zbyt jest jednostajny — to myli się. Jak okolice nasze przedstawiają piękną, podgórską krainę, tak i życie w tej okolicy różnorodność przedstawia. Nie ma tu błyszczących domów, tak zwanych „pańskich“; nie ma gwarnego, szumnego życia, nieczęsto zbiera się ochocze dla zabawy towarzystwo, ale w tem właśnie powolnem, cichem, równem dziś, jak wczoraj i jak jutro, życiu ileż dojrzeć można typów, charakterystycznych rysów! Gdy woda szybko płynie, z trudnością dno jej dojrzeć; ale każdy kamyk zobaczymy przez przejrzyste, spokojne, niegłębokie źwierciadło strumienia.

Poznańskie ma dla mnie urok prawdziwy swym hartem i inteligencyą, jakie w jego mieszkańcach podziwiałam; ale wyobrażam sobie, że ma ono samych większych właścicieli i wieśniaków, że tam nie ma tej klasy średniej niezamożnych właścicieli, dzierżawców. U nas za to co wieś, to dzierżawca, człowiek o jakiemś dawnem, choć niewybitnem nazwisku, lub właściciel mały; a coraz więcej wygasa dawna, bogata, tłumna górska szlachta. W okolicy naszej na przestrzeni niedalekiej dwóch mil jest ze dwadzieścia spokrewnionych rodów, a raczej domów. I trafnie się nazywa ta warstwa towarzystwa, w jakiem żyjemy, „stanem średnim szlacheckim“; bo gdy z jednej strony rodziny dawne o starych herbach, dobrych „koligacyach“, jak mówili dziadowie nasi, dotykają pierwszych arystokratycznych w kraju rodzin, to z drugiej strony przez brak znacznych majątków, dla coraz większych wymagań, grawitują one ku tym „dorobionym“, co wszędzie widne.

Ileż to razy, niby z uderzenia stali o krzemień, wypadnie coś z ust bardzo liberalnego zresztą szlachcica, co świadczy, że dawna buta tylko przez konieczność przedzierzgnęła się w łatwość obcowania z sąsiadem, którego ojciec, lub dziad podrzędne zajmował stanowisko. Ale myliłby się, ktoby sądził, że szlachcic taki jest arystokratą w mowie; bynajmniej — i może nigdzie więcej nie słychać o równości stanów, o konieczności zbliżenia się z światem urzędniczym, jak tutaj. Ale obserwując dokładnie, spotka się słowo jedno, rys nieznaczny, który maluje właściwe, skryte usposobienie.

Oto jest jeden dopiero rys charakterystyczny. Gdybym teraz zaczęła opowiadać, jakim jest „wiejski obywatel“ w życiu autonomicznem, społecznem na szersze rozmiary!... Gdyby kto wziął trochę tylko przyćmione okulary, napisałby powieść bardzo czarną o naszej, zupełnie jak za dawnych polskich czasów, niezgodzie i prywacie. Przy każdych wyborach, przy każdej sprawie ważniejszej — co za materał bogaty do opowiadań, nowelek, do karykatur i humoresek w rodzaju obrazków wiejskich Wilczyńskiego, co to niby trafne, lecz nie malują właściwego stanu rzeczy, bo biorą jednostki za typy. Wygórowana miłość własna, wielkie plany, a małe czyny — oto materyał!... Są i szlachetne myśli, zacne, pojedyńcze jednostek sprawy, ale nie ma ciągłości, nie ma ogólnej moralnej siły. Zwykle za młodu wielkie myśli, szlachetne plany, które upadają wśród walki o chleb codzienny, o byt materyalny, trudny, nużący, zabijający ducha.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne, społeczne i rozmaitości.

Tomasz Szana, znakomity krytyk węgierski z Budapesztu, wydał w tłomaczeniu na swój ojczysty język: „Życie Benvenuta Celliniego“, sławnego włoskiego rzeźbiarza z XVI wieku. Jak wiadomo, Benvenuto Cellini napisał sam własną swą biografią, która już na rozmaite języki tłomaczoną została. Między innymi przetłomaczył ją na polski język zmarły konserwator poznańskiego „Towarzystwa przyjaciół nauk“, Feldmanowski, a na język niemiecki Goethe.

Pośmiertne, niedrukowane dotąd pisma Wiktora Hugo wyszły w Paryżu w jednym tomie, który zawiera: dwa romanse, dramat: „Amy Robsart“ i dwa pierwsze akty, oraz część aktu trzeciego dramatu: „Deux jumeaux.“

P. Kazimirz Bartoszewicz odstąpił od wydawnictwa „Kuryera krakowskiego“, które dalej prowadzić będzie p. Koziański, drukarz krakowski.

W czasie obecnej wystawy odbył się w Paryżu „Kongres własności literackiej“ pod opieką „Towarzystwa literatów“ (gens des lettres). Prezydentem kongresu był Juliusz Simon, znana, znakomita osobistość, jako mąż stanu i pisarz. W liczbie rozmaitych delegatów znajdował się p. Władysław Mickiewicz i miał obowiązek przemówić słów kilka i podziękować rządowi za łaskawie udzieloną opiekę kongresowi. Po jego krotkiem przemówieniu pwstał z miejsca Juliusz Simon i w te słowa odezwał się do obecnych: „Pan Mickiewicz, który właśnie przemawiał, jest nietylko delegatem na ten kongres, ale jest nadto synem wielkiego a znanego wam wszystkim poety. Francya

nietylko przyjęła niegdyś gościnnie sławnego poetę, ale mu otwarła katedrę w kolegium francuzkiem, a sława, którą ją okrył, przytomną jest i dotąd pamięci nas wszystkich."

Nowy przyrząd do automatycznego fotografowania wynalazł w ostatnim czasie p. Enjalbert. Znane już są wagi automatyczne i przyrządy, wyrzucające cukierki i czokoladki. Nowo wynaleziony przyrząd p. Enjalberta zbudowany jest w sposób bardziej skombinowany, niż wyżej wzmiankowane przyrządy, gdyż za wrzuceniem monety wyrzuca fotografią osoby, która stała przed otworem. Przyrząd ten podobny jest na zewnątrz do wielkiego pokojowego zegara, dawnego autoramentu. Na wysokości głowy osoby, naprzeciw siedzącej, zrobiony jest otwor w przedniej ścianie pudła przyrządu, a w otworze tym osadzona soczewka, odsłaniająca się w chwili działania. Po prawej stronie, na tabliczce, znajduje się napis, wskazujący monetę, jaka ma być wrzuconą w szparę, a po lewej znak, na który osoba wzrok zwrócić powinna. Powyżej soczewki są cztery tarcze zegarowe, opatrzone napisami, po których przebiegająca wskazówka objaśnia czynność, jaką przyrząd kolejno w swojem wnętrzu wykonywa. Po wrzuceniu monety, zanim usunie się przegroda, zasłaniająca otwor, t. j. zanim wysunie się klisza fotograficzna, wskazówka staje na napisie: „Przysposób się"; następnie na: „Baczność"; w końcu na: „Pozuj." Przez cały czas przechodzenia wskazówki po tych napisach, co mniej więcej wynosi sześć minut, słychać dzwonienie. Po upływie znów 5 minut przyrząd wysuwa ukończoną fotografią, a działa zupełnie automatycznie czyli bez współudziału człowieka, za sprawą siły elektrycznej.

Warszawski zarząd „Spółki malarzy, rzeźbiarzy i architektów" urządza wystawę dzieł pędzla i ołówka Henryka Pilattiego. Poświęcał on się, jak wiadomo, przeważnie malarstwu historycznemu, a z szczególnem zamiłowaniem przedstawiał z dalekiej, szczęsnej przeszłości narodowej bitwy, jak: pod Kircholmem, pod Byczyną. Uprawiał także z powodzeniem malarstwo rodzajowe, przedstawiając zręcznie typy charakterystyczne, a w chwilach swobodnego natchnienia, nawet humorystyczne obrazki wyrastały z pod jego pędzla, lub ołówka.

Na konkursie gry fortepianowej w Paryżu otrzymał pierwszą nagrodę rodak nasz, p. Zygmunt Stojowski, chociaż ukończył dopiero dwuletni kurs w konserwatoryum, a ma jeszcze trzy lata przed sobą. Jest to dla młodego artysty tryumf nadzwyczajny.

Z pośrod znanych już i głośnych artystów naszych przedmiotem nieustannych owacyi i uwielbienia jest ciągle Paderewski. Gra jego czyni na słuchaczach potężne wrażenie i budzi najwyższe zajęcie u tych mianowicie, którzy wiedzą, że artysta nasz wyrosł na takiego olbrzyma w przeciągu dwóch lat jedynie niestrudzoną pracą, wytrwałością i wiarą w siebie. Obok Paderewskiego zbiera zasłużone pochwały wielce także w stolicy Francyi ceniony rodak nasz, Władysław Górski, skrzypek.

Dnia 3 sierpnia obchodzono w Warszawie uroczyście pięćdziesięcioletnią rocznicę założenia tamże pierwszej ochrony dla dzieci. Ochrona ta r 1839 mieściła się na Krakowskiem przedmieściu w gmachu warszawskiego „Towarzystwa dobroczynności" i liczyła zaraz 120 dzieci płci obojej. Ochrona ta mieści się obecnie w gmachu podominikańskim przy ulicy Freta, a uczęszcza do niej według ostatniego sprawozdania 300 dzieci. Najpierwsza dziewczynka, Elżbieta Barańska, którą w roku 1839 ochrona przyjęła, zajęła później stanowisko dozorczyni zakładu sierot dziewcząt pod opieką „Towarzystwa dobroczynności."

O francuzkich wieśniakach, przybywających tłumnie na wystawę paryzką, tak się wyraża korespondent pewnego warszawskiego czasopisma: „Goście prowincyonalni ciemni, jak noc, na wszystko, co ich zajmuje, wołają zachwyceni: *c'est drôle!* — bez względu czy to obraz, pałac, wodotrysk, prezydent Carnot, cygan, lub Chińczyk. Wieśniacy wloką za sobą dzieci w wózkach, nawołują siebie hukaniem, jakby byli w swoim lesie, a jedzą własne prowianty na jakimś gazonie; przechodnie patrzą im w zęby i obrzucają ich dowcipkami, ale wieśniacy zatopieni w jabłeczniku i wędzonej wieprzowinie, nic sobie z nikogo nie robią. Po takiej biesiadzie na powietrzu ocierają sobie usta bibułą, a ręce obcierają później o aksamitne kanapy i adamaszkowe portyery. Zupełnie tak, jak goście w warszawskich hotelach."

Armia zbawienia. Przyczyną wielkiej wesołości w Londynie stała się w ostatnim czasie demonstracya „armii zbawienia." Następująca procesya udała się w stronę gmachu parlamentu: na czele postępowały dwa wielkie wozy, obsadzone nader głośną kapelą, grającą bez najmniejszego taktu. Dalej ciągnionym był przez cztery konie wóz, na którym w wielkiej skrzyni znajdował się adres, podpisany przez 456,000 osób. Pochód ten zamykała armia zbawienia, po której poznać można było nader wojownicze usposobienie. Policya wzbroniła wstępu w dziedziniec parlamentu muzyce i wojownikom, natomiast wpuściła wóz, dźwigający na swych barkach adres, powszechne budzący zajęcie. Sześciu mężczyzn z wielkim trudem zdołało go na salę wnieść, a powszechnie sądzono, iż zawiera on rzeczy, traktujące o dobrobycie, lub niedoli Anglii i jej kolonii, opracowane przez wiernych synów. Jakiemże było tedy zdziwienie i rozweselenie zarazem, gdy przeczytano prośbę o zamknięcie w niedzielę publicznych lokalów, podpisaną przez tysiące tysięcy członków. — Żądanie to nader chwalebne mogło się jednakowoż było obyć bez śmiesznej demostracyi, mogącej jedynie szkodę przynieść szlachetnemu ze wszech miar celowi.

Romantyczne przygody książąt, ojca i syna. Jedno z znaczniejszych pism francuzkich umieściło przed kilku miesiącami zajmujące podanie, mające i dla nas pewną wartość historyczną. — Czytałam je z prawdziwem zajęciem, zatem w przekonaniu, że zajmie ono również czytelniczki „Domu polskiego," postanowiłam treść jego podać.

Pod koniec roku zeszłego umarł w Niemczech książę, który, stając się bohaterem miłosnej przygody, długo żyć będzie w pamięci starych dworów, gdzie podania tradycyonalnie się przechowują. Książę Aleksander Heski, młodszy brat księcia Heskiego urodził się w Darmstadzie r. 1823 w czasie, w którym mniejsze księstwa niemieckie nieznaczną odgrywały rolę i prawdopodobnie byłby prowadził żywot bardzo skromny, gdyby siostra jego, Maksymilia Wilhelma Augusta, nie była została żoną Aleksandra II, ówczesnego carewicza jeszcze. Książę Aleksander, kochając bardzo swoję siostrę, odwiedził ją w Petersburgu; młody wesoły, muzykalny, umiał się spodobać groźnemu Mikołajowi, chociaż jego łaskę niełatwo było pozyskać. Mikołaj wyraził życzenie, aby młody książę pozostał na jego dworze, a życzenie to było rozkazem. Ks. Aleksander wziął dymisyą, jako porucznik w wojsku heskiem i przyjętym został do rosyjskiej gwardyi cesarskiej w stopniu kapitana. Z tą służbą zaczęła się nić miłosnej intrygi. Następczyni tronu miała dwie damy honorowe, dwie urocze siostry, Emilią i Julią Hauke Przeszłość ich była niemniej zajmująca, jak zewnętrzność powabna. Ojciec ich, generał wojsk polskich, zginął w czasie pewnego rozruchu straszną śmiercią w oczach dzieci swoich. Mikołaj I wziął młode siostry pod swoję opiekę, nadał im tytuł hrabiowski i oświadczył, że je wyposaży i zajmie się niemi. Dla tych wszystkich powodów panny Hauke doznawały wszelkich względów na dworze Mikołaja I. Tymczasem obie młode siostry nie zwróciły szczególnej uwagi na nikogo do chwili, w której przybył książę Aleksander Heski i umiał spodobać się starszej siostrze Julii. Dwoje młodych, pięknych ludzi pokochało się serdecznie, a dwór i miasto zainteresowały się tą miłością. Książę Aleksander prosił zaraz o pozwolenie na związek z hrabianką Julią, nie uzyskał go jednak i Mikołaj, pomimo próśb carewicza, najwyższych dostojników państwa i rozpaczy nieszczęśliwych kochanków, pozostał niewzruszony. Sytuacya zaczynała się przewlekać i nużyć zakochanych. Aleksander Heski powziął tedy stanowczy zamiar wykraść p. Julią i zamiar ten wy-

konał. Gniew Mikołaja I. był straszny i nieubłagany. Wysłał gońców za zbiegami, ale było już za późno. — Młoda para wyprzedziła o dziewiętnaście godzin ścigających ją i szczęśliwie przeszła granicę Austryi. W następstwie zuchwałego wypadku odebrał car Aleksandrowi Heskiemu wszystkie tytuły, stopnie, godności i posiadłości w Rosyi. Położenie młodego księcia stało się zaprawdę krytycznem. Szczęściem w tymże czasie (1853) zasiadał na tronie austryackim młody książę, który ulitował się nad zakochanymi. Przyjął ks. Aleksandra do wojska austryackiego i nadał jego żonie tytuł księżnej Battenberg. Do śmierci Mikołaja I. żył książę bardzo skromnie; ze wstąpieniem na tron Aleksandra II. położenie się zmieniło: tytuł, stopnie i renty zostały przywrócone młodszemu z Hessów, który nie służył już w Rosyi. Austrya podała mu rękę w nieszczęściu, w szczęściu więc pozostał jej wiernym. — W roku 1850 dowodził oddziałem w wojsku włoskiem i został pobity — w r. 1866 również dowodząc korpusem armii, ponownie został zwyciężony. Był jednak odważny i porażki poniesione nie odjęły mu sympatyi, jaką się cieszył w armii Franciszka Józefa. — W r. 1866 opuścił służbę i żył na uboczu w swoim pałacu Jugenheim. Miał pięcioro dzieci, temi byli: książę Ludwik, ożeniony z córką wielkiego księcia Heskiego, ks. Henryk, ożeniony z księżniczką Beatryczą angielską, ks. Franciszek. porucznik w wojsku heskiem, księżniczka Marya, żona barona Erlach-Schoenberg i wreszcie książę Aleksander, były książę bułgarski, o którym tyle pisano i mówiono w ostatnich czasach. Zdawałoby się, jakoby w przygodach miłosnych nie ustępował bynajmniej swemu ojcu — dzieje jego serca niemałego nabrały rozgłosu. Znanem jest powszechnie, że ks. Battenberski przybył do Mentony, zamieszkał tam w skromnym hotelu pod nazwiskim Ernsta, odznaczał się uprzejmością dla wszystkich, wyszczególniając jednak dwie panie, dawne swe znajome, matkę i córkę, w tymże hotelu zamieszkałe, że wreszcie po kilku tygodniach wspólnego pobytu w otoczeniu kilku tylko osób w małym kościołku, wśród lasów i gór romantycznie się wznoszącym, młoda para przysięgła sobie miłość i wierność. Chwilowo zapomniano już nieco o księciu Battenberskim o tajemniczym Ernście, a obecny hrabia Hartman w zakupionych dobrach poszedł ukryć się ze swem szczęściem. Poezya i miłość nie zamarły jeszcze!

Wielkopolanka.

Promyki.

Z pism Carmen Sylwy.

Nie wolno ci zapominać o innych, choćby twój ból był największym.

Czyż może być coś straszliwszego na ziemi, jak kochać człowieka. do którego się nie ma zaufania? Tysiąc razy lepiej mieć zaufanie bez miłości.

Pamiętaj, że jedna połowa szczęścia polega na cierpliwości, a druga na zaparciu siebie samego.

Niebo nie przebacza, jeżeli to, co chce dać dobrowolnie, przemocą mu się wydziera.

Miłość zna tylko teraźniejszość; przyjaźń lubi powtarzać: „Czy pamiętasz?“

Spełnienie obowiązku jest podstawą szczęścia; pociechę sprawia praca, a piękno tylko daje istotną rozrywkę.

Co duch zasiał, tego nie wydepcą ludzie, ani nie wywieją burze.

Głupstwo siada na pierwszem miejscu, aby było widziane; mądrość szuka ostatniego miejsca, aby mogła widzieć.

Niedola nie zaciera wspomnienia o szczęściu, gdy przeciwnie nieraz jedna szczęśliwa chwila rzuca zasłonę na długie lata, spędzone w boleści.

Słońce, spoglądając na świat, rozsiewa zawsze tylko ciepło i światło.

HUMORYSTYCZNE.

Rady i wskazówki praktyczne na lipiec, sierpień i wrzesień.

W tych trzech miesiącach — zdaniem myślicieli —
Chociaż różnice w poglądach są duże,
Bywają czasem, iż tak rzekę, burze,
I piorun nawet, iż tak rzekę, strzeli!
Czasem nad łąką mgła się wznosi blada,
A Tycho-Brache odkrył, że grad pada.

Tedy, małżonku poczciwy i godny,
Żona już na wsi, a tyś już swobodny;
Niechże więc ona dyszy wonią lasu,
A ty pamiętaj, byś nie tracił czasu!...
Anglik, w rachubie mający zalety,
Twierdzi, że chwila ma wartość monety!...

Kamieniczniku, przyjm rady pokorne,
Nie waż się majstrom kłopotu nabawiać,
I zamiast stare lokale odnawiać,
Odnów kontrakty i podwyż komorne.

Tobie, rolniku, już przepiórka śpiewa,
Już ci się wszystkie przedrzeźniają szpaki,
Skosiłeś siano, ukończyłeś żniwa,
Wnet do cukrowni odstawisz buraki;
Zaproś więc Icka, kręćcie obaj głową,
Niech dawne weźmie i niech da na nowo.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.